

Lekko za mgłą wydał mu się las i szeroka, wygrzana ławica za nim. B to ciszej.

— Toż odpoczne.

Potem widział przebiegających ludzi — potem ból nagły odebrał wzrok — a potem już spo 6j.

Daleko już za lasiem wrzała bitwa, gdy opodał na pół obłamanej sosny, na szczerym, gorącym płasku leżał kapral. Ani go nie było znać, tak e to było chuchro mizerne.

Właśnie tak, jak to było na ławie Duna w Tarnowie. Słońce grzeje, to i dobrze poleżeć. Tylko tutaj inny świat — inna rzeka. Inna — albo i nie inna. Tamta, to była swoja — a ta to też chyba będzie swoja — kiedy nad nią pan kapral leżał tak spo o nie.

Nie może to już inaczej być.

Hejże, kapralu Styliński, chuchro ty moje mizerne i było to poco leżać? O! i masz. Gdzie twój Tarnów rodzony, gdzie ławica pi szczyśta Dunajca? Inny świat — inna rzeka! Widzę, że mi chcesz powiedzieć, że tak e twoja. Mójże ty d ogi roztrzępaficze gdzie zaś, gdzie zaś. — Twoja to jest ta mała mogiłka, w której leżysz, ten walecznych coś go zdob ł i ten zapadnięty na mogile krz ż. I woje to były rany, coś za nią odniósł i ta cicha śmierć

A to ie co się widziało dziecko, że tak ładnie wojują, cóż będzie Wojna zw czajna rzecz, wielki trud, mała chwała. Nie może to inaczej być.

— Piąty pułk jak pułkiem był, tak i będzie.

Tylko, gdy sary żołnierz legionów, ojciec kaprala i dwóch p ruczników, Styliński, z wy-cajny fabrykant k fel w rodzonym Tarnowie, na ławicy Du ajc stojąc, pojrzy po wikłach, po wodzie, po kęp ch — to się coś w starych oczach pocznie kręcić jak to i by o już, kiedy się na wojaczkę c ciało iść. Styr, Bug, Zbrucz, Wilejka i synaczka najmłodszego grób.

Inny świat, inna rzeka. — Zwyczajna to jest rzecz.

NOWE KSIĄŻKI.

NOWE POEZYJE.

Kazimierz Wierzyński: „Wielka Niedźwiedź”. Warszawa, „Ignis” 1923.

Lwią część ostatniego tomiku Kazimierza Wierzyńskiego zajmują wierszyki, pisane w latach 1914—18, więc iznacznie starsze od tych, które już znamy z „Wiosny i Wina” i „Wróble na dachu”. Te, o których teraz mi przychodzi mówić, są to zwykłe, konwencyonalne, drobne, bezpretensjonalne wierszyki, których ostatecznie i przytaczać nie warto.

Za przykład niech posłuży wiersz, zatytułowany „Rzeszów”:

Z całego miasta zostały kominy:

Chude, w rozpaczny skamieniałe pięście,

Zmrok się po zgłiszczach włóczy czarno-siny
Spalone domy, nieszczęście.

Albo: „Piosenka”:

Niech ci żaden ból serca ostrzem nie przewierci.
Gdy od ciebie żołnierz zażąda śmierci.

Płacz niech cię zadławi a czyjś uścisk bratni

Nie wyda się pożegnaniem — choć będzie ostatni.
Albo:

A żeś tułał się w norach, bez buntu, bez żalu,
Białe ci łoża potem uścielą w szpitalu,

A jeszcze później zato, żeś dobrze umierał,

Krzyż ci do martwej piersi przypnie pan generał.

Znamy je wszyscy najdokładniej, słyszeliśmy podobnych setki, jeżeli nie tysiące, dla eks-żołnierza mogą one zawierać nieraz niezrozumiały, dla „cywilów” nutę dziwnie przykuwającą, budzą i pozwalają odczuć raz wtóry wspomnienia niedawnych przeżyć, przypominają tę lu owa chwilę doli żołnierza, co to był tułaczem i t. d. i t. d.!

Z literackiego punktu widzenia nie są ani ciekawe, ani najlepsze z podobnych nieciekawych, ani... i znowu i tak dalej, i tak dalej!

Z sympatii dla najsympatyczniejszego autora, którego dwa poprzednie tomiki dały czytelnikom niezapomniane chwile radości, chciałbym z prostej i zrozumiałej bodaj — no — grzeczności! — pisać i obecnie rzeczy przyjaźnie uśmiejniete, serdeczne, grzeczne, wręcz bajeczne i t. d. i t. d. —

niestety, pan Kazimierz Wierzyński, licząc na swoją ustaloną już markę najrozkoszniejszego poety, postanowił zrobić maleńką nieprzyzwoitość i przemycić szereg konwencyonalnych drobiazgów, z którymi jako, jak się to obecnie pokazuje, człowiek piekielnie wyrafinowany i sprytny, wolał na pierwszy ogień nie występować.

Ha — ostatecznie jest to stary kawał, że się gościom tylko na początku podaje doskonałe wino — (można i wiosnę!) — a zrobiono ten maleńki szwindel zdej się pierwszy raz już w... Kanie Galilejskiej, który to potem paskudny proceder był nieskończoną ilość razy aż do obrzydzenia powtarzany!

Ostatecznie jednak trudnią się nim zwykle tylko gorsze firmy i to jest do przewidzenia, ale że to obecnie uczyniła solidna firma Wierzyńskiego, to jest brzydki grzech i paskudny kawał!

A w tym kawale kawał jeszcze paskudniejszy, że się tylko raz jeden udaje, a można przez taki łobuzerski eksperyment utracić co najlepszą klientelę, co zwykle jest pisarzem obojętne, ale tylko przy wydaniu pośmiertnem!

Zresztą jest w tem i drugie niebezpieczeństwo.

Czytelnik, zrażony głądziarstwem pierwszych kilkudziesięciu stron, od niechcenia już tylko przetrzuca następne, na których znaleźć może rzeczy całkiem już odmienne, znacznie, sądzę, samemu autorowi bliższe, śliczne w swojej zakłopotanej nieśmiałości, a jakie szczere i prawdziwe w wyznaniu.

Szczery, z Bożej łaski poeta, kochanek muz i bogów rówieśnik inowi nam oto, że:

I skądże tu poezya?! Skądżeś, dziwna damo,

O, muzu tajemnicza, w swej boskiej żonglerce,

Opowiała mi oczy jasną panoramą,

I wiatrem płomienistym przewiała przez serce!

Skąd włosy twe na twarz mi padają i płoną

Skąd ty mi, niewidoczna, dajesz znak po znaku,

O, kochanko jedyna, najśliczniejsza żono,

Kołysząca się w złotym na niebie hamaku!

Tej „jedynej kochance”, tej najśliczniejszej zaiste żonie służy już Wierzyński dalej niepodzielnie, a służbą tą swoją zmywa swój grzech, jaki owym niecnym przemyceniem, o którym mowa była powyżej, popełnił.

W. W.

Z TEATRU.

TEATR BAGATELA: „OBŁĘD”, sztuka w 4 aktach Karola Mere.

Nie znam więcej prozaicznego imienia jak Karol i nigdy bym się nie był spodziewał tego, że jakimś tam Karolowi zawdzięczał będę tyle rozkoszy, ile zawdzięczał właśnie panu Karolowi Mere. Ieden przynajmniej sympatyczny Karol!

Ten bowiem pan Karol Mere napisał niesłychanie efektowną sztukę, której dał bardzo miły i bardzo sympatyczny, niesłychanie dużo obiecujący tytuł: „Obłęd”, który upaja jak „Szał”, a jest znacznie milej brzmiący, jak n. p. „Waryactwo”.

Dlatego to zawsze o sympatycznych waryatach mówimy z niesłychanym współczuciem: obłąkańcy, a tylko członków najbliższej rodziny i wogóle ludzi, w najwyższym stopniu niemiłych, nazywamy waryatami.

Podczas wojny „obłęd” okazał się niezawodnym środkiem symulacji i stąd stało się tak, że na front szli ludzie o zdrowych zmysłach, gdy tymczasem ci z „pomieszaniem” zostawali w domu, chociaż właściwie powinno być odwrotnie.

Wogóle „obłęd” daje się wszechstronnie zastosować i w sprawach miłosnych, nie też dziwnego, że hr. Michajłow dostał w Paryżu obłędu, gdzie, jak wiadomo, całują się ludzie na ulicach. (Rozkoszne miasto!!)

Ten „Obłęd”, który widzieliśmy w „Bagateli”, okazał się sztuką straszliwie ponurą, nie był jednak wcale „waryactwem” — bo w rezultacie zwyciężył (jak to i być powinno) kochanek, którego grał syn szczerzego i wielkiego artysty Frenkla, Frenkiel młodszy.

Tą, której wspaniała, niesłychanie subtelna, znakomicie opracowana gra, przykuwała oczy całej widowni, była pani Grabowska. Jest to kobieta tak ogromnie piękna, że się za pierwszym jej pojawieniem na scenie zakochały w niej wszystkie, nadmiernie jej blaskiem porażone oczy.

Znakomita ta aktorka (hr. Michajłow), miała za partnerów aktora tej miary, co reż. Sosnowski, (hr. Michajłow), zdumiewający wspaniałą maską, wiernością i naturalizmem odtwarzanej postaci, oraz Tadeusza Frenkla, syna wielkiego Mieczysława.

Doskonały ten młody aktor, który podczas gościnnych występów w czasie ubiegłego sezonu zachwycał widownię swymi wspaniałymi waryactwami w komedii, chodził ostatnio w „Obłędzie” pijany i obłąkany miłością, zazdrością i nienawiścią, za co, niechajże mu Bóg pozwoli także dożyć tej wielkiej zapewne radości swego własnego ojca, który go może podziwiać na tem najcudowniejszym miejscu świata — jakim jest scena!

Pan Ratschka stworzył wyśmienitą, chociaż nieco przeszarżowaną w masce sylwetkę „dzieńszczyka”, zaś nowo przez „Bagatelę” pozyskany pan Melina okazał się aktorem dobrym, chociaż nieco nieopanowanym w ruchach.

Dekoracje, zwłaszcza 4 aktu, bardzo efektowne.

TEATR MIEJSKI IM. JULIUSZA SŁOWACKIEGO: „ZŁOTY WIEK RYCERSTWA”, żart w 3 aktach K. Marlowe'a, przekład Boya.

Bardzo dowcipna historia, na której by można skonać ze śmiechu już zaraz w pierwszym akcie, gdyby nie to, że się chce koniecznie wysłuchać i reszty. Pan Białkowski miał znowu wieczór popisowy, do czego nas już tak przyzwyczaili, że dziwilibyśmy się wprost, gdyby tak nie było. Bardzo ten utalentowany aktor, należy obecnie do filarów naszej pierwszej sceny, z czym i jemu i jej jest zresztą bardzo do twarzy.

Pani Wojdalińska wnosi na scenę piękne warunki zewnętrzne i znaczny talent i stanie się pięknym dla tej sceny nabytkiem.

Pani Łeczycka posiada przepiękny głos o niskim metalicznym brzmieniu i niesłychaną umiejętność opanowania jego tonów, skąd pochodzi ta dziwna żarliwość jej wymowy, bardzo właśnie odpowiednia w omawianej roli.

Panowie: Szyborski był jak zwykle nieoceniony, pan Winawer nosi to bardzo piękne komedijowe imię godnie, a swoją groteskową rolę grał bez zarzutu. Jako Izaksohn bankier popisywał się pan Kułakowski.

Na wyróżnienie jeszcze zasługują: pan Dobieśław i pan Sawicki, oraz pani Kosmowska, jak też panie: Sokolska, Lubieńska, Wolniewiczówna, Sniadecka, wreszcie panowie: Krawczyński i Senowski. Wystawa bardzo staranna i bardzo efektowna.

Wiesław Wahnout.

M. OPERA I OPERETKA. (Kr.) — Do zupełne udatnych przedstawień nowej imprezy zaliczyć należy „Zamarłe oczy” D'Alberta. Prześliczna muzyka pełna nastroju i piękności znalazła dzielnych wykonawców w osobach p. Jaworzyńskiej, Sobańskiej i Osmeckiej, oraz pp. Krugłowskiego (świeży Arcesyzus), z którym partję tę dublował z wielkim powodzeniem p. Kniagin. P. Ostrowski odśpiewał b. pięknie Aureliusa. Z dużym temperamentem lecz z iście operetkowym zacięciem oddał epizodyczną rolę lekarza p. Mazurkiewicz. Chór Tow. Oper. ma już swą ustaloną reputację. W prologu b. dobrze się popisał popularny nasz tenor p. Pietroń, p. Mazurek oraz p. Jastrzębska.

„Ostatni walc” O. Straussa ma libretto osnute na dramatycznych motywach ostatnich lat carskiej Rosji, mało pomysłowe mimo to zajmujące — ilustruje je melodyjna muzyka, wkraczająca kilkakrotnie już w granice „muzyki”.

Rzecz podobała się w czem wiele zasług artystów jak i reżysera p. Sempolińskiego, który zarazem w roli br. Hipera przedstawił nam się jako wyborowy aktor do lekkich ról śpiewnych amantów. Szalone oklaski zbierał niezrównany w roli „W. Księcia” — gość z „Bagateli” p. Zbucki.

Główną rolę kobiecą (Wiera) wykonała z dużym liryzmem i sentymentem p. Szymulska, artystka, która łączy w sobie wdzięk i inteligencję przy pięknych zasobach wokalnych. Hrabinią była zasłużona weteranka sceny p. Zimajer. Dymitra pięknie odśpiewał p. Ostrowski. Pysznym wujaszkiem był pan Ujhely; a jenerałem p. Karasiński. Tańce p. Nadejdiny i p. Cesarskiego zyskały żywy aplaus. Orkiestrę wybornie prowadził dyr. W. Szczepański.

Najlepsza pasta do zębów!!!

